

# Od Redakcji. Jan Stęszewski (1929–2016) in memoriam

DOI: 10.14746/rfn.2016.17.1



21 września 2016 roku, w wieku 87 lat, odszedł od nas Profesor Jan Stęszewski. Od czterdziestu lat członek redakcji „Res Facta”, a później „Res Facta Nova”, jeden z głównych architektów przywrócenia w latach 70. XX wieku na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu studiów muzykologicznych, od dziesięcioleci zaliczany do najwybitniejszych muzykologów i etnomuzykologów swoich czasów. Wraz z odejściem Pana Profesora żegnamy wielkiego humanistę, ale także naszego jedynego w swoim rodzaju Mentora i niezawodnego Przyjaciela. Dziewięć otwierających

niniejszy tom „Res Facta Nova” wspomnień, autorstwa wybitnych uczniów Profesora Jana Stęszewskiego, zatrzymuje w naszej pamięci chociaż część przymiotów Jego serca i umysłu.

Tematyczną dominantą 17. numeru „Res Facta Nova” będą związki współczesnej literatury ze współczesną muzyką, zagadnienie – wiedzieliśmy to z naszych wspólnych z Panem Profesorem rozmów – Janowi Stęszewskiemu nieobce, jak zresztą wszystko, co dotyczyło najbardziej żywotnych problemów współczesnej humanistyki.

Ryszard J. Wieczorek

## PROFESOR JAN STĘSZEWSKI

Niezwykle trudno w krótkim szkicu opisać całokształt poznańskich dokonań Profesora Jana Stęszewskiego, wszystkie Jego zasługi i osiągnięcia, a jeszcze trudniej ukazać te specyficzne rysy osobowości, które czyniły z Niego człowieka wyjątkowego. Przełożony, mentor, *homo politicus* – różne sfery bogatej aktywności Profesora ściśle się ze sobą spletały i zabarwiały Jego sylwetkę wielorakimi odcieniami, odsłaniając w różnych okresach działalności jej złożony kształt, każdorazowo odmienny.

## Przełożony

Sprawując przez równe ćwierć wieku (1975–2000) funkcję kierownika Zakładu Muzykologii Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, do którego reaktywowania – wraz z poznańskim środowiskiem muzykologów „od Chybińskiego” – przyczynił się w ogromnym przeciwieństwie, kształtował od podstaw profil naukowo-dydaktyczny tej placówki. Był to okres szczególnie dynamicznej, wręcz radosnej działalności Jana Stęszewskiego. Niewielki jeszcze Zakład, którego odbudowę z gomulkówskich zniszczeń mocno wspierał ówczesny dyrektor Instytutu Historii Sztuki, profesor Konstanty Kalinowski, nie stanowił w tamtych czasach zwykłej jednostki strukturalnej uczelni, lecz żywą, pulsującą tkankę wypełniającą misję Uniwersytetu i realizującą – w miarę swoich skromnych możliwości – część jego podstawowych zadań. Profesor starannie dobierał współpracowników, odnawiał dawne kontakty bądź nawiązywał nowe, inicjował konferencje, zapraszał gości z innych polskich ośrodków oraz z zagranicy. To właśnie dzięki wizytom w Poznaniu uznanych badaczy, głównie z Niemiec, w pierwszej dekadzie działalności Zakładu moja generacja miała możliwość zetknięcia się z muzykologami światowej rangi, uświadomiła sobie wagę prowadzonych za granicą badań oraz znaczenie międzynarodowej współpracy, ale także i to, jak trudno w Polsce prowadzić analogiczne badania, nie dysponując zasobną biblioteką. Wyprzedzając analogiczne tendencje o kilka dziesięcioleci, Profesor pragnął włączyć ośrodek poznański

w międzynarodową sieć wymiany studenckiej i naukowej w oparciu o zagranicznych partnerów. Niestety, ogłoszenie stanu wojennego plany te w brutalny sposób zniweczyło – co więcej, nie było żadnej gwarancji, że dopiero co powołana do życia jednostka ów bolesny zakręt dziejów będzie w stanie przetrwać. Dobrze pamiętam moją pierwszą służbową wizytę w mroźny styczniowy dzień w warszawskim mieszkaniu Państwa Stęszewskich – wizytę niezapowiedzianą (bo generałowie zawiesili międzymiastową łączność telefoniczną) i wypełnioną przygnębiającą rozmową o ówczesnej sytuacji, niepewnym bycie poznańskiej muzykologii i polskiej humanistyki w ogóle. Muzykologia jednak przetrwała, zagraniczni wykładowcy nadal Poznań odwiedzali, a dzięki wspólnym zabiegom Profesora Stęszewskiego i profesora Mirosława Perza zbiory biblioteczne Zakładu Muzykologii wzbogaciły się o olbrzymi prywatny księgozbiór profesora Kurta von Fischera, byłego przewodniczącego Międzynarodowego Towarzystwa Muzykologicznego. Ten niezwykle dar – koleżeński gest wybitnego szwajcarskiego uczonego na rzecz poznańskiej muzykologii – miał istotny wpływ na podniesienie poziomu dydaktyki i prowadzonych badań.

Profesor Stęszewski był zwierzchnikiem wyjątkowym i z całą pewnością nietypowym. Łącząc swoje regularne przyjazdy do Poznania z dużą aktywnością za granicą – w latach 1979–1999 był przewodniczącym działającej przy UNESCO Polskiej Rady Muzycznej, a w latach 1984–1987 wiceprzewodniczącym Międzynarodowej Rady Muzycznej UNESCO, później zaś, jako profesor wizytujący, dłuższe okresy spędził w Berlinie, Getyndze i Gironie – musiał z natury rzeczy swe pobyty poświęcać sprawom kluczowym i niecierpiącym zwłoki. Zawsze jednak znajdował okazję do szczerzej, dalekiej od pytań zdawkowych czy formalnych, rozmowy o nurtujących nas wówczas problemach. Rozpisując „pilne sprawy do załatwienia” na kilku spiętych spinaczem karteczkach (wówczas to było jeszcze możliwe!), przekazywał je w tak wytworny sposób, że niepodobna było Jego poleceń precyzyjnie nie wykonać. Zawsze spokojny i zrównoważony, zachowywał pewien arystokratyczny dystans, przyprawiony nutą delikatnego humoru, budząc zaufanie i dając poczucie bezpieczeństwa. Także później, po usamodzielnieniu się Zakładu i przekształceniu go w Katedrę Muzykologii, był dobrym duchem tej

jednostki. Kiedy jesienią 2005 roku przyszło mi objąć kierownictwo Katedry po profesor Danucie Jasińskiej, wielokrotnie miałem okazję się przekonać, jak bardzo Profesor Stęszewski był z poznańskiej muzykologii dumny, jak mocno jej los leżał Mu na sercu i jak pilnie śledził kariery swoich uczniów i współpracowników. Mając już status profesora-seniora, starał się nadal aktywnie uczestniczyć w życiu Katedry i służyć dobrą radą, choć zdumiony niewyobrażalną skalą ówczesnej sprawozdawczości z niejakim chyba trudem odnajdował się w nowej rzeczywistości. Gdy w początkach stycznia 2016 roku otrzymałem długo wyczekiwaną decyzję władz naszej uczelni o przekształceniu Katedry w Instytut Muzykologii i miałem przywilej przekazania Mu, jako pierwszy, tej radosnej wiadomości, po raz kolejny utwierdziłem się w przekonaniu, że Profesor niezmiennie żył poznańską muzykologią i cieszył się z jej sukcesów. Gdyby Mu tylko pozwolił na to stan zdrowia, zapewne wsiałby do najbliższego pociągu, by jak najprędzej uścisnąć dłoń dawnym współpracownikom.

### Mentor

Profesor Jan Stęszewski był prawdziwym Mistrzem-Mentorem: potrafił w swoich uczniach budzić aspiracje, zachęcać ich do wysiłku wykraczającego poza przyjęte standardy, a równocześnie dostrzec wszystkie walory i talenty swych wychowanków. Wielki erudyta i wspaniały orator – i to zarówno polsko-, jak i niemieckojęzyczny – zachwycał każdego, kto miał okazję się z Nim zetknąć. Interesowało Go wszak bardzo wiele dziedzin, wypowiadał się często i chętnie na różne tematy, wędrując z zadziwiającą swobodą po całym spektrum współczesnej humanistyki. Cechował Go tak wszędzie podziwiany rygor intelektualny, logika wyводу i dbałość o precyzję wysłowienia, umiejętność trafnej diagnozy, dostrzegania ryzyka bądź pominiętych możliwości. Dobrze zaprawiony w śledzeniu rozlicznych pól „metodologicznych” sporów, błyskawicznie wychwytywał słabe strony dowodzenia, luki w argumentacji czy mankamenty formalne. Nie używał jednak języka pogardliwego, szanował wybory innych i niczego nie narzucał, a swoją krytyką nikogo nigdy nie ranił. Udział w krajowych i zagranicznych konferencjach uważał za swój obowiązek i rzadko pozostawiał referentów bez zadania ważnego

pytania. Każdorazowo, gdy wraz z Nim miałem okazję uczestniczyć w konferencjach organizowanych w Niemczech czy we Włoszech, obserwowałem tę Jego aktywność i wielką sympatię, jaką Go tam darzono. Pracę dydaktyczną przedkładał nad własną działalność badawczą. Zachęcał do uprawiania nauki szerokiej, do stawiania śmiałych hipotez, do budowania kontaktów z polskim i międzynarodowym środowiskiem naukowym. O Jego charyzmie dobitnie świadczy liczba wypromowanych doktorów (czternastu), zawdzięczających swemu Mistrzowi nie tylko wiedzę, lecz przede wszystkim wrażliwość i otwarcie się na szeroki dyskurs humanistyczny i interdyscyplinarny. Miał przy tym poczucie własnej wartości, z trudem poddawał się akademickim rygorom i procedurom. Będąc w swej twórczości naukowej mistrzem małych form, nie pozostawił książek autorskich, do ich pisania raczej zachęcał innych, doceniając znaczenie publikowania monografii i syntez, wartość badań źródłowych oraz działalności edytorskiej. Toteż wiele satysfakcji dostarczyła Mu zapewne książka z Jego najważniejszymi, a rozproszonymi dotąd, tekstami o rozmaitej tematyce i pochodzącymi z różnych okresów Jego życia, którą z okazji osiemdziesiątych urodzin wręczyli Mu poznańscy uczniowie i współpracownicy.

To, co czyniło z Niego człowieka szanowanego i lubianego, właściwie wymyka się opisowi. Roztaczał w Poznaniu szczególną aurę pogodnej, ludzkiej życzliwości i nie pozostawał obojętny na kłopoty czy problemy innych, w tym doktorantów i studentów, których towarzystwo tak bardzo sobie cenił. Należał do tego rodzaju świetnych mówców i dyskutantów, którym elokwencja nie przesłaniała umiejętności uważnego słuchania. Koncentrował się na rozmówcy, wciągał do rozmowy niezmiennie zachęcającym: „Co u Pana/Pani słyhać?”. Jego udział w naszych naukowych zebraniach, podczas których zawsze – bez względu na podjęty temat – miał coś ważnego do powiedzenia, wnosił ożywczy ferment, skłaniał do refleksji i do sięgania po coraz to nowe lektury.

Te legendarne już, godzinami trwające rozmowy w pokoju numer 8... W nich się najpełniej realizował. Z czasem w tych dyskusjach coraz mniej miejsca zajmowały sprawy poznańskie czy polskie, a więcej tematy globalne, daleko wykraczające poza wymiar lokalny. Jego imponująca skala zainteresowań, otwartość na najnowsze dokonania i koncepcje współczesnej

humanistyki, połączone z dużym urokiem osobistym, niezmiennie fascynowały kolejne generacje adeptów muzykologii nie zamierzających kroczyć utartymi szlakami i szukających własnej drogi. Znajdował także czas na rozmowy o szeroko pojętej kulturze, o polityce krajowej czy międzynarodowej, wreszcie o zwykłym, codziennym życiu – o podróżach, motoryzacji, budowie domu, synach, kręgu dawnych i nowych przyjaciół. Wierzył, że wartości powstają tam, gdzie żywi ludzie dyskutują ze sobą, wchodzą w rzeczywiste, a nie wirtualne relacje. Wielu z nas chyba dopiero dziś zdaje sobie w pełni sprawę, jak wiele Mu zawdzięcza – a przecież tak dużo jeszcze tematów pozostało do omówienia...

### Homo politicus

Profesora Stęszewskiego cechowało wielkie poczucie obowiązku oraz niezmiennie obywatelskie zaangażowanie. Po 1989 roku bieżąca polityka stała się Jego wielką namiętnością i nieodłącznym tematem wszystkich rozmów, podczas których opowiadał o swoich nieformalnych spotkaniach, zgłaszanych petycjach i różnego rodzaju interwencjach. Wzrastał pod rządami różnych władz i w różnych systemach politycznych, a kilkanaście lat zabranych Mu przez wojnę i stalinizm uważał za wystarczający argument, by zabierać głos w najbardziej aktualnych sprawach społecznych czy politycznych. Mając w pamięci rozliczne zawirowania polityczne, jakie towarzyszyły całej Jego drodze życiowej, nie potrafił być obojętny i biernie przyglądać się biegowi spraw, jeśli uznał, że zmierzają w złym kierunku. Liberalna demokracja była dla niego prawdziwą wartością i zawsze podkreślał konieczność przeciwstawiania się nietolerancji, demagogii, indoktrynacji, antyinteligentkiej narracji, przeinaczaniu historii i kłamliwej propagandzie.

Nie był przy tym entuzjastą neoliberalizmu, ani w polityce naukowej, ani kulturalnej i z całą mocą wskazywał na płynące stąd zagrożenia. Szczególnie mocno angażował się, jak wiadomo, w działania wspierające tradycje polskiej muzyki ludowej oraz w prace najważniejszych polskich gremiów odpowiedzialnych za kondycję współczesnej kultury i edukacji muzycznej. W nie mniejszym jednak stopniu pochłaniała Go polityka wschodnia, a szczególną wagę przywiązywał do utrzymania przyjaznych stosunków z zachodnim

sąsiadem Polski. Był germanofilem w najlepszym tego słowa znaczeniu; mając za sobą doświadczenie wojny, utrzymywał z muzykologią niemiecką żywe i owocne kontakty, chętnie pośredniczył między badaczami polskimi i niemieckimi, i z dumą podkreślał swój udział w ujawnieniu „Berlinki” – najcenniejszej części zbiorów z kolekcji Pruskiej Biblioteki Państwowej, znajdującej się od końca wojny w Bibliotece Jagiellońskiej.

Zresztą także polityka nie pozwoliła Mu o sobie zapomnieć. Zarządzony w kwietniu 2007 roku obowiązek złożenia oświadczenia lustracyjnego dotknął Go już w samej jesieni życia. Choć Profesor uznał to za poniżający przymus negujący domniemanie niewinności, oświadczenie owo złożył, nie omieszkawszy jednak dołączyć obszernego komentarza, stanowiącego – zgodnie z Jego słowami – „dopełnienie nieadekwatnego formalnego oświadczenia lustracyjnego o moich losach w PRL”. Ów „integralny załącznik do oświadczenia lustracyjnego” wart jest dziś lektury, bo najpełniej oddaje ówczesny stan ducha Profesora Stęszewskiego, któremu bardzo bliskie były chyba słowa Orwella: „Kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość. Kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość”.

### Bożena Muszkalska

#### NIE JESTEM ETNOMUZYKOLOGIEM

W *Przedśłowiu* do wydanej z okazji 80-tej rocznicy urodzin Profesora Jana Stęszewskiego książki *Rzecz, świadomość, nazwy. O muzyce i muzykologii* (Poznań 2009), zawierającej wybór pism Jubilata, Profesor wyznał: „Pracę dydaktyczną zawsze przedkładałem nad własną działalność badawczą, gdyż uważałem, że jest to najlepszy sposób na zwielokrotnienie własnej efektywności...”

Tak się złożyło, że nasza relacja mistrz–uczeń trwała kilka dekad. Na pierwszym i drugim roku studiów muzykologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim uczęszczałam na wykłady Profesora z przedmiotu „Etnografia muzyczna”, a przez kolejne trzy lata uczestniczyłam w prowadzonym przez Niego seminarium. Podczas wykładów słuchaliśmy muzyki z całego świata, która w latach 70. była w Polsce praktycznie niedostępna. Tu zetknęłam się po raz pierwszy

z gruzińskimi śpiewami wielogłosowymi, które stały się potem przedmiotem analiz w mojej pracy magisterskiej. Profesor Stęszewski wyjeżdżał często na konferencje zagraniczne i przywoził swoim seminarzystom nieosiągalne w Polsce nagrania i opracowania. Dzięki temu koledzy mogli pisać o radze, o tali, o instrumentach indyjskich, a ja o fascynującym gruzińskim wielogłosie. Pamiętam, że wśród otrzymanych od Profesora materiałów był manuskrypt artykułu Ernsta Emsheimera *Georgische Volksmusik*, który dopiero po dwóch latach ukazał się drukiem w suplementcie do MGG... Tamten wybór i umożliwienie mi przez Profesora realizacji tematu zaważyły na całym moim zawodowym życiu. Tradycyjna wielogłosowość wokalna pozostała przez długie lata leitmotivem prowadzonych przeze mnie badań.

Od 1983 roku, po zatrudnieniu mnie w Zakładzie (obecnym Instytucie) Muzykologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, moje kontakty z Profesorem stały się regularne. Pod Jego okiem pokonywałam kolejne etapy drogi naukowej i wprawiałam się w pracy ze studentami. Wspominam Go jako uważnego słuchacza i wnikliwego recenzenta oddawanych Mu do korekty tekstów. Wpajał nam, osobom znajdującym się u progu kariery naukowej, poczucie odpowiedzialności za każde wypowiedziane i napisane słowo. Ganił nieścisłości terminologiczne, wyłapywał błędy logiczne i niekonsekwencje. Podczas wielogodzinnych dyskusji dzielił się swoimi przemyśleniami dotyczącymi różnych aspektów uprawianej dyscypliny. Imponował erudycją w wielu dziedzinach wiedzy. Zachęcał do korzystania z osiągnięć innych nauk: językoznawstwa, z koncepcjami synchronii i diachronii Ferdinanda de Saussure'a i gramatyką transformacyjno-generatywną Noama Chomsky'ego na czele; psychologii kognitywnej, reprezentowanej m.in. przez Johna Andrew Slobodę, którego książkę *The Musical Mind* szczególnie cenił; czy historii, od której przejął metodę retrogresywną do badań nad instrumentami i zjawiskami etnomuzycznymi. Chętnie powracał do problemu muzykologicznego redukcjonizmu. Redukcje teorii dotyczących muzyki do teorii zewnętrznych wobec muzyki – jeśli zostały one poddane weryfikacji – uważał za użyteczną strategię odkrywczą, przestrzegał jednak przed ślepym ich stosowaniem, mogącym prowadzić do fałszywych wniosków (przykładem może być oparte na błędnych

przesłankach wyjaśnianie obecności „polskiego” elementu w melodyce Chopina). Często podejmowanym przez Profesora tematem były problemy związane z wartościowaniem artefaktów kulturowych, a zwłaszcza niejednorodnością kryteriów, którymi kierują się badacze i badani. Nalegał, aby wszelkie wytwory kultury rozpatrywać w ich własnym kontekście i systemie wartości. Starał się wyplenić, używane zwłaszcza w odniesieniu do kultur pozaeuropejskich, określenie „prymitywne”. Argumentował, iż wyraz *primitive* występuje w anglojęzycznej literaturze etnologicznej i etnomuzykologicznej w znaczeniu „pierwotny” i nie ma zabarwienia aksjologicznego. Muzyka pozaeuropejska i ludowa powinna być traktowana, Jego zdaniem, na równi z innymi rodzajami muzyki.

Tak w rozmowach prowadzonych w kameralnym gronie, jak i na forum publicznym oraz w publikacjach Profesor nie unikał tematów trudnych. Dobitnym tego przykładem jest podejmowanie kwestii muzyki wykorzystywanej w roli narzędzia ideologicznego w systemach totalitarnych. Jego zasługą jest wydobycie na światło dzienne „najbardziej haniebnego w muzykografii i muzykologii” dokumentu, jakim był dla Niego *Lexikon der Juden in der Musik*, będący świadectwem „najsroższego z muzycznych rasizmów”. Odnosząc się do sorealizmu, postulował ostrożną ocenę folkloryzmu dzieł kompozytorów tworzących w okresie panowania tej ideologii (casus Tadeusza Szeligowskiego).

Profesor Stęszewski był wytrawnym badaczem terenowym. Zaraził mnie swoją pasją, gdy jeszcze jako studentka uczestniczyłam w badaniach prowadzonych pod Jego i profesora Bogusława Linette'a kierunkiem w okolicach Łańcuta. Od 1983 roku organizowanie ćwiczeń terenowych dla studentów należało do moich obowiązków służbowych. Początkowo poruszaliśmy się w obrębie Polski, a od 1994 zaczęliśmy wyjeżdżać poza jej granice, na Białoruś, Litwę i Ukrainę oraz do Rumunii. Badaniami zostały objęte wyłącznie skupiska Polaków, jako że znajomość języka badanych stanowiła zdaniem Profesora warunek sine qua non dobrze przeprowadzonych eksploracji. Kładąc nacisk na poznanie funkcjonujących w kulturze pojęć i koncepcji w celu uzyskania jej oglądu od wewnątrz (podejście emiczne), realizował postulaty antropologii kognitywnej. Praktyki „w terenie” były istotnym dopełnieniem wykładów wygłaszanych w salach uniwersytetu. Dopiero tutaj studenci mieli szansę na pełne opanowanie warsztatu

etnomuzykologa. Zajęcia te praktycznie pokazywały, co to jest wywiad i obserwacja uczestnicząca, reprezentatywność i wiarygodność zbioru, wariant i wariabilność folkloru muzycznego, relacja „wzór – model”, jakie trudności wiążą się z przechodzeniem z poziomu informacji jednostkowych na kolejne poziomy uogólnień. Z niezwykłą dbałością podchodził Profesor do sporządzanych przez studentów protokołów i spikeerek, spędzając ze swoją grupą wiele godzin na ich opracowywaniu. Wymagał precyzyjnego notowania w oryginalnym brzmieniu lokalnych określeń, odnoszących się do klasyfikacji repertuaru, morfologii utworów, instrumentów muzycznych i manier wykonawczych, a także szczegółowych opisów obrzędów, zwyczajów i innych kontekstów wykonywania muzyki. Dokumentację uzupełniał własnoręcznie robionymi zdjęciami, które wysyłał swoim informatorom. Uczył nas zasad etyki obowiązujących podczas prowadzenia badań i wrażliwości na drugiego człowieka, dając przykład własnym zachowaniem. Budził powszechny szacunek i sympatię, czego świadectwem mogą być przyjęcia urządzone w domach informatorów dla Niego i Jego grupy.

Przytoczone jako tytuł tej wypowiedzi zdanie „Nie jestem etnomuzykologiem” słyszałam wielokrotnie z ust Profesora Stęszewskiego. Sądzę, że dobrze oddaje ono Jego wizerunek jako naukowca, niechętnego schematycznym podziałom, dbającego o terminologiczną precyzję, zorientowanego na interdyscyplinarną refleksję nad muzyką i związanymi z nią zjawiskami. Cytowana deklaracja koresponduje też z problematyką publikacji Profesora, daleko wykraczającą poza zakres badań tradycyjnie pojmowanej etnomuzykologii, ograniczony do muzyki w kulturach pozaeuropejskich i muzyki ludowej Europy. Jeszcze większa rozpiętość tematyczna cechuje prace magisterskie i doktorskie pisane pod kierunkiem Profesora. Uznając systematykę muzykologii Adlera, w której „Musikologie” (muzykologia porównawcza) została wyodrębniona w dziale muzykologii systematycznej, Profesor ubolewał jednocześnie, iż podział ten wywiera negatywny wpływ na badania, które powinny być względem siebie komplementarne i wzajemnie się inspirować. Dowodził zasadności tej tezy, m.in. poszukując za pomocą metod stosowanych w etnomuzykologii źródeł i przyczyn obecności pierwiastka ludowego w muzyce artystycznej, w twórczości Mielczewskiego, Chopina,

Szymanowskiego i innych kompozytorów. Twierdził, że etnomuzykolog jest de facto historykiem muzyki, na pierwszym miejscu – muzyki współczesnej, funkcjonującej w żywym przekazie, a na drugim – muzyki starszej, której badanie może utrudniać brak lub skąpość bezpośrednich źródeł historycznych. Tak etnomuzykolog, jak i historyk muzyki prowadzą zatem badania synchroniczne i diachroniczne. Profesor był gorącym orędownikiem idei stworzenia uniwersalnej historii muzyki. Apelował o „reintegrację” historii i teorii muzyki oraz etnomuzykologii, aby taka historia mogła powstać.

Profesor Stęszewski nie dążył do znalezienia ostatecznych rozwiązań stawianych problemów. Wychodził z założenia (za Popperem), iż najistotniejsze w nauce jest jej rozwijanie poprzez formułowanie hipotez i poszukiwanie argumentów na ich falsyfikację. Swoje poglądy i koncepcje wyłożył w licznych artykułach i referatach konferencyjnych. Najpełniej jednak referował je w bezpośrednich rozmowach. Znany był z polemicznego tonu swoich wypowiedzi. Sam siebie nazywał *advocatus diaboli*, którego głównym celem jest pobudzanie refleksji i prowokowanie do dyskusji. Takim pozostanie w mojej pamięci.

## Ryszard Daniel Golianek

### MISTRZ

Docent, Jan, Stęsz, Giovanni. Różnie Go przeżywaliliśmy w naszych studenckich czasach, bo był wielowymiarowy, niezwykły i interesujący. Bo fascynował nas. Podziwialiśmy Go i poddawaliśmy się urokowi Jego osobowości, inteligencji i klasy.

Moja pierwsza z Nim rozmowa miała miejsce wiosną 1983 roku. Studiowałem chemię na UAM w Poznaniu, ale ciągnęło mnie ku muzykologii. Trafiłem na Niego. Odbył ze mną rozmowę kwalifikacyjną – najpierw zadał mi poważne pytanie o historię mszy, zalecił zagranie na fortepianie modulacji z C-dur do As-dur, a potem zaczął stawiać problemy wymagające oryginalnego myślenia i własnego zdania. To mnie zachwycało i już wiedziałem, że stanę się Jego uczniem, że będziemy często dyskutować, że doceni mój sposób widzenia problemów i pozwoli na ich indywidualne rozwiązywanie.

Obserwowałem Go przez ponad ćwierćwiecze, wielokrotnie z Nim rozmawiałem, zwykle prezentując specjalnie wyostrome odmienne stanowisko. Uwielbiał takie prowokacje, chętnie wchodził w intelektualne gry. Miał niezwykle szerokie horyzonty, potrafił zawsze zadać mądre i rzeczowe pytanie, świadczące o dobrej orientacji w materii, choćby nawet była odległa o lata świetlne od Jego zainteresowań. Uczył nas, że dyskusja jest ważniejsza niż referat, że zadawanie pytań po wykładzie świadczy o kulturze słuchaczy, że podczas konferencji naukowych należy wysłuchać wystąpień wszystkich uczestników. Jego autorytet wynikał z szacunku dla dyskursu i konfrontacji stanowisk, a nie z wieku czy urzędu. Nie cierpiał w nauce ideologizacji czy doktrynerstwa, tępił powielanie utartych kanonów i wtórność tez.

Ukształtował mnie naukowo, nauczył tego, co najważniejsze – dogłębnej świadomości metodologicznej, umiejętności uchwycenia istoty problemu i jego konceptualizacji, stawiania przemyślanych tez, argumentowania i dowodzenia. Zaproponował tolerancyjny i wielopłaszczyznowy ogląd świata, a pozaracjonalne argumenty zwalczał jako zabobony i przejawy ciemnoty. Był światłym i niezwykle mądrym naukowcem, a Jego europejskość i światowość budziła wówczas – w okresie schyłkowym PRL, ale i później – zachwyt i niekłamany podziw. Chętnie dzielił się z nami tą międzynarodowością, zapraszał muzykologów z Europy i innych kontynentów, byśmy ich poznali i podyskutowali z nimi. Dzięki Jego pozycji w polskim świecie muzycznym mogliśmy też przy ul. Słowackiego 20 swobodnie rozmawiać z Witoldem Lutosławskim, Krzysztofem Pendereckim czy innymi wybitnymi kompozytorami.

Nie byłem z Nim zaprzyjaźniony, rzadko rozmawialiśmy o życiu, wakacjach czy polityce, nie plotkowaliśmy o wspólnych znajomych. Dyskutowaliśmy o możliwościach zrozumienia świata dźwięków, o kulturze, filozofii. O granicach ludzkiego poznania. O muzyce i muzykologii, o nauce i sztuce. Nie były to częste ani regularne rozmowy, ale inspirowały mnie do nowych pomysłów naukowych. Przez te niemal trzydzieści lat kontaktu z Nim zdarzały się i trudniejsze relacje oraz nieporozumienia, w tym jeden głębszy zgrzyt, który niemal nas poróżnił ostatecznie. Ale i to nie zmieniło mojego przekonania, że to, co w tym fachu ważne, zaczerpnąłem od Niego.

Ostatnia nasza rozmowa – nie bezpośrednia, lecz telefoniczna – miała miejsce latem 2012 roku. Prezydent Komorowski nadał mi tytuł profesora i zadzwoniłem do mojego Mistrza, by Go o tym poinformować. I by jeszcze raz Mu podziękować, bo to przecież za Jego sprawą zostałem muzykologiem. Był wzruszony. Pogratiłował mi i powiedział, że to wielka satysfakcja dla Niego, gdyż uzyskałem ten tytuł jako pierwszy z wychowanków muzykologii poznańskiej, którą On zakładał w latach siedemdziesiątych. Zauważył, że droga od studenta do profesora trwa aż kilkadziesiąt lat i że cieszy się, że doczekał tego momentu, kiedy Jego uczeń, którego kształtował od pierwszego roku studiów, osiągnął najwyższe kwalifikacje zawodowe. On poczuł się spełniony, a ja – prawdziwie doceniony przez Niego. Miło, że tak Go mogę zapamiętać.

### Janina Tatarska

#### PROFESOR JAN STĘSZEWSKI IN MEMORIAM

Profesor Jan Stęszewski był dla mnie Mistrzem i naukowym autorytetem o niebywale szerokich horyzontach, głębokiej wiedzy i mądrości życiowej. Ponadto, osobistym urokiem i osobowością roztaczał wokół siebie jakąś trudną do zdefiniowania aurę niezwykłości, wyjątkowości. Z jednej strony budził ogromny respekt, z drugiej, po bliższym poznaniu, odsłaniał oblicze pełne życzliwości, otwartości i dobroci dla ludzi. Wielu inspirował swą ciekawością świata, dociekliwością, sposobami rozumienia muzycznego żywiołu.

Dla mnie poznanie Jana Stęszewskiego było punktem zwrotnym w życiu zawodowym. Jako absolwentka Akademii Muzycznej czułam ogromną wdzięczność za przyjęcie mnie na seminarium doktoranckie. Dwugodzinny egzamin kwalifikacyjny, który wówczas przeszłam, nie zapomnę do końca życia.

Zawsze fascynowało mnie Jego spojrzenie na muzykę. Był nie tylko znakomitym muzykologiem i naukowcem, lecz także w pewnym sensie artystą, o ogromnej wrażliwości na piękno dźwięków i kwestie wykonawcze, dla mnie jakże istotne w rozumieniu dzieła muzycznego. Pamiętam naszą rozmowę na temat pianistycznych interpretacji *Sonaty As-dur* op. 110 Beethovena i wnikliwość Jego sądów na temat

*arioso dolente*. Z entuzjazmem dyskutował zarówno o interpretacji artystycznej, jak i skomplikowanych kwestiach metodologicznych, filozoficznych. I właśnie to połączenie dwóch światów: *ratio* – *emotio*, umysłu i emocji, było być może najbardziej znaczącą cechą Jego niezwyklej osobowości.

Dlatego niewątpliwie każde spotkanie z Janem pozostawało w mojej pamięci; szczególnie imponujący styl, w jakim potrafił dokonywać analizy i syntezy, a także Jego wysoka kultura języka, którą wszystkich fascynował. Niejednokrotnie w mojej pracy ze studentami pojawiała się myśl: Jak Jan by to ujął, jak uzasadnił, jakich argumentów by użył?

Muzykologa Profesora Jana Stęszewskiego łączyły bliskie więzi z Akademią Muzyczną, co wiele lat temu należało do rzadkich przypadków na polskiej akademickiej scenie... Miał w Akademii grono oddanych przyjaciół i jeśli tylko pozwalał Mu na to napięty terminarz zajęć, przyjmował nasze zaproszenia do udziału w konferencjach i koncertach. Jego wystąpienia zawsze gromadziły pełną salę słuchaczy, których porywał swoją wiedzą, czytaniem, oryginalnym punktem widzenia, trafną interpretacją, wielką erudycją oraz nieodpartym urokiem. Skupiał na sobie zachwycone spojrzenia damskiej części widowni nie tylko tym, co mówił, ale także tym, w jaki sposób prezentował własne przemyślenia.

Był człowiekiem wielkiego formatu, posiadał znaczący dorobek twórczy, który stawiał go w rzędzie najwybitniejszych polskich badaczy i muzykologów nie tylko ze względu na olbrzymią liczbę publikacji, lecz przede wszystkim ze względu na nowatorskie metody badawcze, na różnorodność i rozległość podejmowanej tematyki oraz doskonały poziom merytoryczny i oryginalny język wypowiedzi. W chwili obecnej towarzyszy mi głębokie, smutne przekonanie, że wraz z odejściem Profesora Jana Stęszewskiego skończył się kolejny etap w dziejach polskiej kultury i nauki.

Wierni uczniowie i przyjaciele Jana Stęszewskiego niosą dalej w świat Jego przesłanie i idee, idą wytyczoną przez Niego drogą. Pozostają także wspomnienia, oficjalne i prywatne, teksty, wypowiedzi, listy, zdjęcia. Pozostaje nasza pamięć, szacunek i uznanie oraz serdeczna i szczerza refleksja o człowieku, który przeszedł przez życie, czyniąc dla innych tak wiele dobra.

**Piotr Podlipniak**

WSPOMNIENIE O PROFESORZE  
JANIE STĘSZEWSKIM

Profesora Jana Stęszewskiego spotkałem po raz pierwszy w roku 1992 jako student pierwszego roku muzykologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że stanie się On dla mnie niedoścignionym wzorem do naśladowania, ale też źródłem inspiracji i nieocenionych wskazówek podczas podejmowanych później nieśmiało prób zdobywania wiedzy dotyczącej nie tylko muzyki. Dość powiedzieć, że w świeżo upieczonym studencie uniwersytetu niezwykle elokwencja Profesora, budzące podziw kompetencje muzykologiczne, niezwykle orientacja we współczesnej naukowej wizji człowieka i świata, jak i logika Jego wypowiedzi budziły dwojakiego rodzaju odczucia. Z jednej strony był to podziw, z drugiej lęk, wynikający ze świadomości ustępowania Profesorowi w każdym aspekcie zarówno Jego wiedzy, jak i precyzji wyrażania sądów. Lęk ten niewątpliwie onieśmiał. Podziw kazał szukać u Profesora rad dotyczących drogi rozwoju. Ostatecznie podziw wygrał tę moją wewnętrzną rywalizację motywacji, bo zdecydowałem się zapisać na seminarium do Profesora. Myślę, że tym, co pozwoliło mi przełamać owo onieśmienie, były często niedoceniane dziś cechy osobowości, którymi obdarzony był Profesor. Mam tu na myśli Jego otwartość, niebanalne poczucie humoru i szacunek dla myśli drugiego człowieka nawet wówczas, gdy nie były to myśli warte szczególnej uwagi. Wybór seminarium u Profesora Stęszewskiego uważam dziś za jedną z moich najtrafniejszych decyzji, bez niej moje myślenie o muzyce z pewnością byłoby inne, śmiem twierdzić – ułomne.

Pozwolę sobie wskazać na kilka najważniejszych, z mojego punktu widzenia, poglądów i wskazówek Profesora, które ukształtowały mój sposób myślenia o muzykologii i jej przedmiocie badawczym, a także wskazały mi drogę badawczą, którą mam podążać. Najistotniejszy dla prowadzonych badań nad muzyką wydaje się postulat redukcjonizmu metodologicznego, który Profesor wielokrotnie powtarzał na naszych seminarjach i który zmuszał do poszerzania horyzontów myślowych każdego z seminarzystów. Wymóg niesprzeczności sądów formułowanych w muzykologii



z prawami i obserwacjami nauk przyrodniczych, choć wydaje się tak oczywisty po lekturze artykułu Profesora o redukcjonizmie w muzykologii<sup>1</sup>, nie zawsze jest respektowany przez przedstawicieli nauk zajmujących się szeroko rozumianą kulturą. Pamiętam pewien wykład, na którym jeden z zacnych przedstawicieli środowiska naukowego przekonywał, jakoby ludzie w różnych kulturach posiadali różną liczbę zmysłów. Teza taka, choć sprzeczna ze współczesną, a także ówczesną wiedzą przyrodniczą o człowieku, mogłaby zostać bezrefleksyjnie przyjęta za prawdziwą przez niedoświadczonego studenta. Nie wiem dziś, czy była to prowokacja, czy może niekompetencja owego wykładowcy. Wiem natomiast, że sformułowany przez Profesora Stęszewskiego postulat redukcjonizmu metodologicznego podsuwał niemal na tacy argumenty, które pozwalały niedoświadczonemu studentowi zrozumieć, dlaczego nie należy ufać prezentowanym przez owego wykładowcę tezom. Nie oznacza to, że Profesor kwestionował pierwiastek relatywny w sposobach poznawania świata przez przedstawicieli różnych kultur. Wręcz przeciwnie, wyczulenie Profesora na kwestie relatywizmu kulturowego ugruntowane było w Jego wiedzy etnomuzykologicznej – ta dyscyplina muzykologiczna w największym chyba stopniu świadoma jest zróżnicowania kulturowego człowieka i związanych z tym zróżnicowaniem problemów badawczych stojących przed etnomuzykologami. Relatywizm kulturowy dotyczy też wartościowania kultur muzycznych, do którego wielokrotnie nawiązywał Profesor<sup>2</sup> zawsze wówczas, gdy w naszych dyskusjach pojawiało się zagadnienie badań porównawczych kultur muzycznych. Świadomość zróżnicowania kulturowego nie stała jednak dla Profesora nigdy w sprzeczności ze wspomnianą wcześniej ideą redukcjonizmu metodologicznego. Profesor zawsze podkreślał konieczność poszukiwania adekwatnych dla podejmowanego problemu badawczego metod i standardów dla badań porównawczych, także we wspomnianej kwestii wartości<sup>3</sup>.

Postulat redukcjonizmu metodologicznego ma jednak dużo bardziej istotne konsekwencje, na które Profesor Stęszewski był szczególnie uwrażliwiony. Mam tutaj na myśli interdyscyplinarny charakter muzykologii i konieczność otwierania się na wiedzę płynącą z najnowszych odkryć badawczych innych dyscyplin naukowych. Profesor wielokrotnie podkreślał konieczność podejmowania wysiłków interdyscyplinarnych<sup>4</sup> i przestrzegał przed zamykaniem się wyłącznie w okowach hermetycznej wiedzy muzykologicznej. Postulat ten wydaje się szczególnie aktualny dziś, w dobie poszukiwania dróg prowadzących do jedności nauki<sup>5</sup>. Profesor był niewątpliwie w tym względzie szczególnie kompetentny i wrażliwy. To, co uderzało i zaskakiwało w kontaktach seminaryjnych z Profesorem, to właśnie Jego niezwykła wręcz orientacja w piśmiennictwie niemal z każdej dziedziny wiedzy, którą wykorzystać można było w pracach podejmowanych przez Jego seminarzystów. Orientacja ta nie ominęła także moich zainteresowań. Pamiętam, jakby to było wczoraj, nasze dyskusje o uniwersaliach muzycznych i różnorodnych możliwych sposobach ujęcia tego zagadnienia. Punktem wyjścia dla tej dyskusji był przetłumaczony przez Profesora na język polski artykuł Waltera Wiory<sup>6</sup> poświęcony właśnie problemowi uniwersaliów muzycznych i specyfice muzyki jako ogólnoludzkiemu zjawisku. Świadomość fundamentalnej wagi tego zagadnienia dla muzykologii mogła zniechęcać do zajęcia się nim, jednak Profesor zawsze dodawał nam odwagi i nigdy nie odciągał nas, seminarzystów, od poszukiwań i rozpatrywania nawet najbardziej, zdawać by się mogło, trudnych kwestii. To właśnie podczas jednej z takich dyskusji Profesor udostępnił mi i dał pod rozwagę pracę szwedzkiego muzykologa Nilsa Wallina, z którym dyskutował podobne kwestie na konferencji w Mediolanie. Była to praca o biomuzykologii<sup>7</sup>, która stała się dla mnie podstawową subdyscypliną muzykologiczną, w której paradygmacie przyszło mi prowadzić swoje dalsze

<sup>1</sup> J. Stęszewski, *Probleme der Theorienreduktion in der Musikwissenschaft. Einleitende Bemerkungen*, „Interdisciplinary Studies in Musicology” 1993, s. 68–73.

<sup>2</sup> Por. np. J. Stęszewski, *Problem wartościowania kultur muzycznych*, [w:] *Muzyka w kontekście kultury*, Kraków 1978, s. 222–235.

<sup>3</sup> Por. J. Stęszewski, *On the Need of Standards of Evaluation in Musicology*, [w:] *Trends and Perspectives in Musicology*, Stockholm 1985, s. 81–84.

<sup>4</sup> Por. np. J. Stęszewski, *Czy współczesna muzykologia ze swej natury jest interdyscyplinarna i hipertekstowa?*, [w:] *Głosy po lekturze przemówienia Reinholda Brinkmanna*, „De Musica” 2004 nr 5.

<sup>5</sup> E. Osborn Wilson, *Konsiliencja*, przeł. J. Mikos, Poznań 2002.

<sup>6</sup> W. Wiora, *Tonalny logos*, „Res Facta” 1972 nr 6, s. 221–258.

<sup>7</sup> L. Nils Wallin, *Biomusicology: Neurophysiological, Neuropsychological, and Evolutionary Perspectives on the Origins and Purposes of Music*, Stuyvesant 1991.

badania. Gdyby nie te rozmowy i nie ta sugestia, być może w ogóle nie zajmowałbym się dziś muzykologią.

Profesor Stęszewski należy niewątpliwie do najwybitniejszych polskich muzykologów, którzy na trwałe ukształtowali naszą dyscyplinę naukową. Ja jednak pamiętam Profesora przede wszystkim jako życzliwego promotora, otwartego na różne wyzwania, których wielu innych promotorów nie chciałoby podjąć. Cieszę się, że dane mi było poznać Profesora osobiście i korzystać z Jego dorobku intelektualnego nie tylko za pośrednictwem publikacji, ale też w bezpośrednich z Nim kontaktach.

### Grzegorz Piotrowski

W PIONIE. JAN STĘSZEWSKI (1929–2016)

Z Profesorem Janem Stęszewskim zetknąłem się na pierwszym roku studiów muzykologicznych w Poznaniu, a więc w październiku 1994 roku... Nie, to pamięć (która niekiedy mało ma wspólnego z pamiętaniem) podsunęła mi tę datę najbardziej oczywistą – bo przecież Profesora poznałem już kilka miesięcy wcześniej: w kwietniu, w Warszawie, na eliminacjach centralnych Ogólnopolskiej Olimpiady Artystycznej. Profesor przez lata był członkiem Komitetu Głównego Olimpiady i to właśnie Jego podpis widnieje jako pierwszy – przed nazwiskiem Tadeusza Maklakiewicza – na moim dyplomie laureata. Po części ustnej, kiedy mówiłem o teatrze piosenki Ewy Demarczyk (już wtedy miałem nieprawomyślne, jak na przyszłego muzykologa, ciągoty), Profesor wyszedł z sali i powiedział: „Jest pan dżentelmenem, wymienił pan dzień i miesiąc urodzin artystki, lecz pominął rok”...

Później: Profesor na korytarzu Katedry Muzykologii, a właściwie jeszcze Zakładu w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza; Profesor w swoim gabinecie (dawna sala numer 8 w kamienicy przy Słowackiego, tylko dwa biurka i wielka szafa z płaskorzeźbą); Profesor na zajęciach i w trakcie konwersatoriów naukowych bądź konferencji... Trzeba to powiedzieć wprost: wywierał wielkie wrażenie. Przystojny mężczyzna, o szczupłej sylwetce, klasycznie ubrany, z białymi włosami, które gęstą falą opadały na jedną stronę urodziwej twarzy o niestarzejących się rysach. Przyjemny głos, jakby

intymny sposób mówienia, budujący atmosferę porozumienia i wspólnoty. Wysoka kultura języka, płynność i jasność formułowanych myśli. Czasem szczypta ironii, lekki żart. A kiedy indziej ton serio, akademicki, ale bez profesorskiego nadymania policzków. Nienaganne maniery.

Zajęcia z Profesorem – ze Stęszem, gdyż tak pieszczotliwie nazywali Go studenci – wypadały dopiero na trzecim roku studiów. Były to wykłady z metodologii muzykologii (ten przedmiot miałem później, jako doktorant, zaszczyt przez rok z Profesorem dzielić) oraz z pozaeuropejskich kultur muzycznych. Profesor mówił z pamięci, posługując się jedynie skrótowymi notatkami. Narrację prowadził z właściwą sobie elokwencją, którą jednak nigdy słuchacza nie przytłaczał. Zawsze wydawało się, że mówi do partnerów. Obszerne cykle zajęć dotyczyły muzyki japońskiej, której Jan Stęszewski był wybitnym znawcą, biegle obeznanym nie tylko z rodzimą terminologią czy instrumentami muzycznymi, lecz w ogóle z szerokim kontekstem kulturowym, estetycznym, religijnym i społecznym, któremu poświęcał wiele uwagi. Zadawał pytania. Demonstrował – głosem! – sposób kształtowania dźwięku w *shōmyō*. Rozwijając paralele między zjawiskami muzycznymi w ramach różnych kultur, nieustannie dotykał problemu etycznej odpowiedzialności badacza wkraczającego nie na swój teren.

Zaś na samych zajęciach z metodologii, a także oczywiście na seminariach, często powracała kwestia świadomości teoretycznej i metodologicznej, kształtowania dyskursu i formowania narzędzi badawczych adekwatnych do tradycji dyscypliny, ale i – a może zwłaszcza – do badanego przedmiotu.

Zaproponowany przeze mnie, na czwartym roku studiów, temat pracy magisterskiej, dotyczący twórczości rosyjskiej piosenkarki Ałły Pugaczowej – nieodżałowany Jarek Mianowski określił go wówczas, jakże w sumie pochlebnie, jako „największy skandal polskiej muzykologii” (swoją drogą, gdzie te czasy, gdy tak łatwo można było zostać skandalistą?) – Profesor przyjął bez mrugnienia okiem. Nie wiem oczywiście, co mógł w duchu o nim – a także o egzaltowanym, długowłosym młodzieńcu, którym wówczas byłem – sądzić, ale jestem przekonany, że dla Profesora nie istniały tematy „nieodpowiednie”. Był bowiem Jan Stęszewski w istocie antropologiem muzycznym i całym swoim życiem oraz dorobkiem potwierdzał postawę

otwartości na wszelkie kulturowe ekspresje i zarazem potrzeby człowieka. Ustalenie tematu pracy było więc kwestią jego sformułowania, dookreślenia, postawienia pytań i hipotez badawczych, wyboru metody i ram teoretycznych. Wiązało się zatem z dyscypliną intelektualną oraz wypracowaniem odpowiedniego warsztatu.

Temu na seminariach magisterskich służyły dyskusje oraz uważna lektura studenckich konspektów czy tekstów, poddawanych krytycznemu omówieniu – ponownie podkreślałam – na zasadach zupełnie partnerskich. Profesor nie forsował żadnych rozwiązań, nie zabraniał błędzić – podsuwał tylko, jak zapałki, pewne myśli, pytania, inspirujące obserwacje, z których mogliśmy już budować własne konstrukcje. Odnosił się do przykładów z zakresu całej swej wiedzy o muzyce, rozszerzając je chętnie na sztukę i kulturę w ogóle (a nawet dalej, gdy w dyskusji uczestniczył Piotr Podlipniak). Muzyką popularną interesowałam się wówczas nie tylko ja, twierdząc więc, że w gronie dyskutujących pod przewodnictwem Profesora, we wspomnianym pokoju numer 8, studentów (na pewno Remigiusz Wojciechowski, Marcin Błaszczuk, Joanna Giemza) polska muzykologia wykonała nieśmiały jeszcze wtedy krok ku *popular music studies*.

Dyskusje toczyły się zresztą o wszystkim. Profesor potrafił celnie odnieść się w nich do wydarzeń i doświadczeń z własnego życia, nawet takich, jak picie koniaku z Chaczaturianem. Spotkania przerywały czasem telefony – które Profesor odbierał swoim charakterystycznym, eleganckim, nieco podkreślonym intonacyjnie „halo”, płynnie przechodząc z nienagannej polszczyzny na język niemiecki lub angielski.

Interesował się nami, naszym życiem – moim życiem i moim śpiewaniem. Zauważał drobiazgi („Pan używa dobrych kosmetyków, panie Grzegorzu, zupełnie jak mój syn”), dostrzegał sprawy ważne. Kiedy umarł ojciec mojego przyjaciela z roku, Profesor, jakimś tajemnymi kanałami, dowiedział się o tym i złożył mu kondolencje. Który z obecnych kierowników jednostek akademickich zadaje sobie trud śledzenia prywatnych losów (i dramatów) poszczególnych studentów?

Fragmenty powstających prac magisterskich Jan Stęszewski czytał bardzo uważnie, wstawiając wszelkie brakujące przecinki i znaki diakrytyczne. Komentarze na marginesach były celne, czasem nieco ironiczne – wystarczyło więc pół słowa, by lekcja została

zapamiętana na zawsze. Ja na przykład nadużywałam superlatywnych przymiotników, próbując podświadomie obronić moją rozwichrzoną bohaterkę przed zarzutem tandety („to niesamowite – zgodziliśmy się z Profesorem – jak w kulturze rosyjskiej straszny prymitywizm łączy się z niewyobrażalnym wyrafinowaniem”) i przed deprecjonowaniem jej – twierdząc jak wtedy – wyjątkowego talentu. Czasami entuzjazm rozciągałam jednak zbyt daleko: przy przypisie dotyczącym Tichona Chriennikowa, figury dość parszywej, Profesor dopisał więc tylko „o SŁAWETNYM...”. I to wystarczyło.

Takich wskazówek – zwłaszcza kiedy zostałam doktorantem – dostawałam bez liku. Nie wszystkie rozumiałam czy akceptowałam bez oporu od razu. „Artykuł musi mieć »mięso armatnie«, konkret, materiał dowodowy. Na refleksję metodologiczną czas przyjdzie później” – myśl ta przypominała mi się, gdy kończyłem książkę o muzyce popularnej, po piętnastu latach od napisania pierwszego zdania. Kiedy indziej: „Zrozumie pan kiedyś, panie Grzegorzu, że to studenci trzymają nas »w pionie«. To dzięki nim mamy kontakt z życiem” – dziś także już wiem, że to prawda i że Profesor miał rację.

Jako doktorant zajmujący się „muzycznym” Iwaszkiewiczem stałam się dla części mych niedawnych wykładowców, teraz kolegów, rozczarowaniem. Otwarty, wesoły, uwodzicielski(?) i błyskotliwy(?) student okazał się samotnikiem, znerwicowanym odludkiem, który na dodatek zajął się nie tym, czego odeń oczekiwano. Nie sądzę jednak, bym był rozczarowaniem dla Jana Stęszewskiego. Wiem, że Profesor roztaczał nade mną parasol swojej życzliwości i zrozumienia. Traktował mnie zawsze w sposób szczególny – subtelny i wyrozumiały, zapewniając ochronny margines na to, co było moją słabością i innością.

W czasie pierwszego roku studiów doktoranckich i zarazem zajęć prowadzonych w Katedrze Muzykologii spotkała mnie duża przykrość. I ważne doświadczenie. Kilkoro studentów pierwszego roku obciążało mnie swoim niepowodzeniem na egzaminie z historii muzyki: „zbyt liberalny, na dobitkę utrzymuje, że nie ma jednej interpretacji dzieła muzycznego” (działo się to – przypomnijmy – w czasach, w których stuprocentowa zdawalność wcale nie była normą). Zarzut powędrował „do góry” via oficjalne kanały, ale zupełnie poza mną. Profesor zareagował natychmiastowo

i zdecydowanie. A w obszernym i emocjonalnym liście pisał do mnie o zasadach akademickiej etyki, zauważając przy tym, że praktyka donosu przypomina najgorsze zwyczaje peerelowskie...

Profesorowi zawdzięczam też wieloletnią współpracę z *Encyklopedią muzyczną PWM*, która była moim marzeniem i pozostaje do dziś przedmiotem szczególnej dumy. Profesor przedstawił próbki moich tekstów doktor Elżbiecie Dziębowskiej, która zadzwoniła do mnie. Po dwóch godzinach pasjonującej rozmowy, o wszystkim, wróciłem do rzeczywistości, mając „na karku” nie tylko te teksty, które chciałem napisać, ale także obszerne artykuły o Straussach i Suppém. Zdrętwiałem z przerażenia.

Wreszcie, dobrze pamiętam uroczystość promocji doktorskiej. Profesor miał łzy w oczach, kiedy wypowiadał łacińską formułę ślubowania. Zawsze podkreślał, że należymy – prawem ciągłości – do szkoły Adolfa Chybińskiego. Teraz zaś należałem już do szkoły Jana Stęszewskiego.

\*

Trzymam w rękach jedyną autorską książkę Jana Stęszewskiego *Rzeczy, świadomość, nazwy. O muzyce i muzykologii*.

Uważam – a jest to moja subiektywna opinia, gdyż środowiskowe niuanse polskiej muzykologii obserwowałem zawsze z boku – że dorobek Profesora nie został nigdy w pełni rozpoznany i doceniony. Oczywiście był On autorytetem, był rozpoznawalny, ale na klasyków namaszczone innych z Jego generacji. Krył się za tym, moim zdaniem, pewien resentyment. Resentyment wobec działacza zbyt(?) aktywnego – bo taki był Jego temperament, bo chciał być wśród ludzi – i wobec bon vivanta? Wobec „prezesa” (Związku Kompozytorów Polskich w latach 1973–1979 i wielu innych gremiów), o którym Iwaszkiewicz miał powiedzieć: „No, naprawdę niegłupi jest ten Stęszewski”? Wobec „muzykologa bez teki”, który habilitował się dopiero w wieku mocno dojrzałym i to na podstawie cyklu artykułów<sup>8</sup>?

<sup>8</sup> Hierarchie i oceny – względne, płynne, stałe – są w ogóle ciekawe. Pomyślmy o Chomińskim. Kto ma dziś jego odwagę, horyzont i rozmach, by tworzyć monumentalne syntezy, próbować objąć całość? A z drugiej strony: kiedy jeden z moich wykładowców określił ostatnie dzieło Chomińskich, *Historię muzyki polskiej*, jako nieporozumienie, to pewnie miał jednak po części rację.

Jest jeszcze inny powód: świadomość teoretyczna i metodologiczna nie była, przynajmniej do niedawna, mocną stroną polskiej muzykologii. Zwłaszcza taka, jaką miał i krzewił Profesor – czyli podająca rękę nowoczesnej humanistyce i „poinformowana antropologicznie”.

Dorobek Jana Stęszewskiego nie jest zresztą bynajmniej mały, nawet jeśli nie odpowiada wymogom naszej epoki, która każe bez przerwy sikać naukowym atramentem. Wybitny metodolog – a nim przede wszystkim jest dla mnie Profesor – nie pisze bowiem ani często, ani dużo. Wypowiada się zwięźle w sprawach zasadniczych. I bez naiwnej wiary, że cokolwiek w humanistyce można ustawić i rozstrzygnąć ostatecznie.

Doskonale pokazuje to jeden z moich ulubionych tekstów Profesora: *Problem wartościowania kultur muzycznych* – po czterdziestu latach wciąż absolutnie kanoniczny, a przy tym świetnie skonstruowany i napisany. Inny wymiar zainteresowań i możliwości Jana Stęszewskiego pokazują rozprawy poświęcone polskiej muzyce ludowej – w tym znakomite studium monograficzne *Chmiela* – oparte na własnych badaniach terenowych i nizaniu wieloletnich obserwacji. Jeszcze inny – ważne dla mnie „drobiazgi”, w tym *O dysharmonijnych funkcjach Państwowego Zespołu Ludowej Pieśni i Tańca*. Otwierają one, jak rozmowy z Profesorem, oczy, podsuwając często jakiś zasadniczy koncept, który pozwala pójść dalej we własnych poszukiwaniach.

Jak to podsumować? Może tak jak moja studentka: „Tekstom tym – chodziło o listę lektur do przedmiotu »kultura muzyczna« – w większości brakuje szerszego spojrzenia. Są »ekskluzywne«, jakby muzyka nie była dziedziną kultury i wytworem człowieka. Przy tym grzeszą brakiem dbałości o czytelnika, o to, żeby cokolwiek zrozumiał. Ale owszem, był jeden wyjątek: *Problem wartościowania kultur muzycznych* Jana Stęszewskiego”.

\*

W ostatnich latach Profesor wyrażał zaniepokojenie i rozczarowanie kierunkiem zmian w naszym kraju. Ubolewał nad „nieokiełznanym nacjonalizmem” i „objawami postaw nieobywatelskich”.

Ostatnie spotkanie: w Operze Narodowej, bodaj po *Katii Kabanovej*. Nie mogliśmy się – mówiąc kolokwialnie – nagadać.

W ostatnim zaś mailu: „Co Pan teraz czyta, Panie Grzegorz, jakie nowe książki powinienem Pana zdaniem poznać?”. Na to pytanie, Drogi Panie Profesorze, spróbuję odpowiedzieć już w innej czasoprzestrzeni.

## Bogumiła Tarasiewicz

### LIST DO PROFESORA JANA STĘSZEWSKIEGO

Drogi Panie Profesorze. Gdy siedzieliśmy wiele lat temu przy herbatce w Pana domu i rozmawialiśmy – rzec można – jak zwykle o życiu, powiedział Pan: „Wiesz, Bogusiu, my jak te konie. Ciągłe w biegu. W tym pędzie nie zdążymy pewnie umrzeć”. Przez wiele lat trzymałam Pana za słowo, licząc, że być może Panu uda się to, co nie udało się jeszcze nikomu.

Były bowiem takie zamierzenia, które zrealizować udawało się tylko Panu. Ponad dziesięć lat temu we wkładce do mojej płyty z pieśniami łemkowskimi napisał Pan, Panie Profesorze:

Przed dwudziestu laty wśród adeptów muzykologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu znalazła się Bogumiła Tarasiewicz (*Bogusia*). Zrazu trudno było się zorientować, że jest z pochodzenia łemkinią, przedstawicielką grupy etnicznej, którą Polska Ludowa za aspiracje zachowania swojej tożsamości etnicznej, unickości i za niechęć do realnego socjalizmu bądź ekspulsowała do ZSRR, bądź wysiedliła z ojcowizn i rozproszyła po kraju. Na seminarium nie miałem wątpliwości, że nadarza się rzadka okazja, aby p. *Bogusi* zaproponować temat magisterskiej rozprawy, który – jako uczestniczka spotkań swoich ziomków żyjących w diasporze, a sama jako nosicielka ustnej tradycji pieśniowej – mogła wybornie przygotować na podstawie oryginalnych źródeł. Tak też się stało i pracę obroniła w 1990 roku.

Były to lata 80. ubiegłego stulecia, czas, kiedy rozprawianie o mniejszościach etnicznych nie należało do bezpiecznych tematów. Pan, Profesorze, miał tę wielką odwagę i wielką naukową intuicję. Dla Pana było to tak normalne i oczywiste, a dla mnie wręcz zadziwiające. Był Pan dla nas, studentów, zawsze wielkim autorytetem. Dla mnie było zaszczytem, że ktoś taki, jak Pan Profesor, pochyła się nad tradycjami mego rodzinnego gniazda. Stale Pan inspirował, podpowiadał, nie pozwalał kończyć badań, sugerował, by

jeszcze o coś dopytać, nagrać jeszcze jedną *śpiwankę*... Jakże często na naszych seminaryjnych spotkaniach powtarzało się zdanie: „Warto byłoby jeszcze...”. Tych uwag i zachęt było tak wiele, że pisałam tę pracę trzy lata, broniąc ją z rocznym opóźnieniem.

A później – przy każdym spotkaniu ze mną rozbrzmiewało: „Warto byłoby jeszcze...”. Dziś, po latach, stwierdzić muszę, że gdyby nie to stale powtarzane zdanie i upór Pana Profesora, nie powstałaby monografia poświęcona weselu łemkowskiemu. W przedmowie napisał Pan:

Po latach wartość [...] terenowej eksploracji oralnej tradycji obrzędowej i muzycznej jako trzeciego, obok religii i języka, elementu tożsamości Łemków, bardzo wzrosła. Powtórzenie dzisiaj ówczesnych badań zaowocowałyby co najwyżej obrazem kolejnej, znowelizowanej fazy tradycyjnego wesela, śpiewów i muzyki Łemków.

Dziś, po latach, jestem Panu Profesorowi niezmiernie wdzięczna. Pana postawa pozwoliła ocalić od zapomnienia część rusińskiej tradycji. Moi respondenci, z których większość dzisiaj już nie żyje, z podziwem kręcili głowami i mówili: *To musyt byty wielki tot Profesor, jak sia ne boit braty za naszymy sprawy* [Wielki musi być ten Profesor, skoro nie boi się zajmować naszymi sprawami]. Myślę, że dzisiaj spotkał się Pan już z nimi, a oni sami mogą przekazać Panu swój podziw i uznanie.

Wdzięczność, podziw i uznanie jest także w sercu moim. *Wicznaja pamiat.*

## Rafał Ciesielski

### WSPOMNIENIE

Dopiero w momentach, gdy przychodzi werbalizować emocje, sytuacje i relacje, zaczynamy nazywać rzeczy dotąd nienazywane, dotąd niewymagające nazywania, bo toczące się swoim biegiem, dotąd „jedynie” odczuwane i w takiej postaci określające nasze postrzeganie i relacje ze światem. Owo „nazywanie” czynione w odniesieniu do osób, które odeszły, będzie zawsze ułomne i jednostronne, za jego podjęciem stoi jednak przekonanie, iż – o ile jednostkowo będzie ono wycinkowe – wyrażone w trybie polifonicznym dać może obraz pełniejszy.

Profesor Jan Stęszewski w słowie, postawie i geście był profesorem uniwersyteckim w najbardziej szlachetnym rozumieniu. Jako wykładowca i człowiek był wymagający. Rozmowy z Nim były zawsze swoistym wyzwaniem, w szerokim tego słowa znaczeniu. Wyzwanie to odnosiło się bowiem i do strony językowej wypowiedzi, i kwestii merytorycznych, i wnikliwości, inteligencji czy bystrości, oraz wreszcie spraw najbardziej ogólnych – erudycji, świadomości funkcjonowania i wypowiadania się z perspektywy określonych tradycji kulturowych, metodologicznych czy intelektualnych. Wielu mogło to wobec Profesora dystansować, a nawet wprowadzać w psychiczny dyskomfort (czego skutkiem bywała absencja niektórych studentów na Jego zajęciach, na których zawsze można było owym wymaganiom nie sprostać). Dla innych jednak owo wyzwanie było po prostu... wyzwaniem, które nawet, gdy mu się nie podołało (co w końcu było naturalne, biorąc pod uwagę dystans między profesorem a studentem), zawsze poszerzało horyzont, dawało багаż nowej wiedzy, przemyśleń i refleksji.

W pracy pod kierunkiem Profesora (a miałem zaszczyt i przyjemność być Jego magistrantem i doktorantem) na drugim niejako biegunie lokował się – można by rzec – inny odcień owego wyzwania: obdarzanie zaufaniem, które przyjmowało formę zapewnienia: „Pan to potrafi zrobić”, „Pan wie, jak to zrobić”. To było już prawdziwe wyzwanie, któremu niesprostanie oznaczałoby – obok innych osobistych przykrości – jakieś „odpadnięcie” czy wręcz „spadnięcie” z pewnego poziomu, do którego się wszak aspirowało. Najistotniejszą bodaj cechą relacji Profesora ze swymi naukowymi podopiecznymi było więc szukanie, znajdowanie i uwalnianie potencjału tkwiącego w samym studencie, a potem w magistrancie czy doktorancie. Gdy onegdaj Profesor na moje pytanie, czy mógłbym uczęszczać na Jego seminarium doktoranckie, wyraził na to zgodę, czułem się jakbym wstąpił do jakiegoś elitarnego klubu, w którym „na powitanie” – czego miałem świadomość – otrzymywało się kredyt zaufania, a członkostwo w klubie nie wynikało jedynie z opłacania składek (czytaj: fizycznej obecności na seminariach), lecz polegało na stawianiu sobie nieustannie nowych wyzwań konsekwentnie inspirowanych przez Profesora. I radzeniu sobie z nimi. Przynosiło to nie tylko owoce, ale dawało też szczerą satysfakcję i umacniało wiarę we własne możliwości.

Profesor Jan Stęszewski był człowiekiem wysokiej kultury, erudytą, znawcą muzyki i spraw leżących odeń bliżej lub dalej. Muzykę postrzegał w licznych i zróżnicowanych kontekstach (pamiętam, jak zdawany u Profesora niemal półtoragodzinny egzamin z metodologii muzykologii skończył się na... XX Zjeździe KPZR). Był człowiekiem niezwykle kompetentnym i stąd budzącym respekt i szacunek. Był tolerancyjny, zawsze życzliwy, inspirujący i wspierający. Angażował się w wiele działań. Potrafił też zachować konieczny w wielu sprawach dystans („Wie pan, ci socjologowie to znają się na wszystkim i o wszystkim potrafią mówić godzinami”).

Kilkanaście lat temu, na Uniwersytecie Zielonogórskim, prowadziłem zajęcia z muzyki dla artystów. Po kolejnym spotkaniu podeszła do mnie jedna ze studentek. W krótkiej rozmowie o muzyce dodała mimochodem: „Pan prowadzi zajęcia tak, jak pewien profesor w Warszawie”. Zainteresowało mnie, jak to się stało, że studiując w Warszawie, nagle znalazła się w Zielonej Górze. Otóż była ona studentką profesora Jana Berdyszaka i podążyła za nim, gdy ten zaczął prowadzić zajęcia na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zaintrygowała mnie jednak sprawa owego profesora, którego sposób prowadzenia zajęć jakoby był mi bliski. Okazało się, iż moja rozmówczyni studiowała w Europejskiej Akademii Sztuk, gdzie miała zajęcia z... Profesorem Janem Stęszewskim. Zdumiony do granic, odpowiedziałem: „Wie pani, to niezwykle, bo to był mój Profesor na poznańskiej muzykologii”. Teraz ona była zaskoczona: „Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie...”. Do dziś pozostaję zdumiony, że nieuchwytny dla mnie związek mógł być zarazem tak silny, że czytelny był dla owej studentki, która skojarzyła tak odległe w czasie i przestrzeni sytuacje i w geście jakiegoś naturalnego odruchu podzieliła się swym odczuciem z przypadkowym, prowincjonalnym wykładowcą... Dla niego zaś wskazanie na ową relację było tyleż zaskakujące, co wzruszające i nobilitujące...

**Barbara Mielcarek-Krzyżanowska**

WSPOMNIENIE

O Profesorze Janie Stęszewskim, spiritus movens poznańskiej muzykologii, słyszałam przed rozpoczęciem studiów na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza.

Wiedziałam, że podczas kolejnych lat spotykać się będę z Profesorem, który budzi w środowisku wielkie uznanie nie tylko olbrzymią wiedzą i doświadczeniem, ale też wysoką kulturą osobistą. Początkowo podczas wykładów, a z czasem też konwersatoriów i seminariów poznawałam Profesora Stęszewskiego, mierzyłam się z legendami opowiadanymi przez kolegów ze starszych roczników, z niepokojem przystępowałam do kolejnych egzaminów. Były one zawsze nietypowymi rozmowami rozpoczynającymi się od zagadnień objętych programem nauczania i szybko przeradzającymi się w dialog na tematy ogólnohumanistyczne, jakby Profesorowi bardziej zależało na poznaniu nas, odkryciu naszych pasji i zainteresowań, do których w sobie właściwy sposób nawiązywał później podczas wykładów monograficznych, konwersatoriów-lektoriów i seminariów, nieustannie inspirując nas do poszerzania naszych horyzontów. Zawsze zastanawialiśmy się, kiedy znajduje czas na poznanie takiej ilości wartościowej literatury, dotyczącej nie tylko zagadnień muzykologii czy historii kultury. Nawet podczas ostatnich spotkań i rozmów telefonicznych potrafił zawstydzić pytaniem: „Pani Basiu, czy Pani zna...?”, „A czy czytała Pani...?”. Kiedy zaczynałam szukać wskazanych przez Profesora książek, okazywało się najczęściej, że to publikacje dopiero co wydane.

Wiadomo było, że na etapie wybierania tematu pracy magisterskiej wszelkie propozycje „nietypowe” konsultowane są z Profesorem Janem Stęszewskim. Większość z nich realizowana była na Jego proseminariach i seminariach. Nie były one (poza wyjątkowymi przypadkami) spotkaniami indywidualnymi i dzięki temu można było śledzić proces dojrzewania studentów do badanego problemu, przekształcenia tematów, które wraz z głębszym wniknięciem w interpretowane zagadnienie potrafiły diametralnie się zmieniać. Profesor towarzyszył tym przemianom pozornie z pozycji obserwatora, subtelnie podsuwając lektury, zwracając uwagę na pomijane przez nas obszary, odsłaniając bagatelizowane wątki. Spotkania te zawsze były wyjątkowe. Profesor nigdy nie ograniczał czasu, jaki mógł nam poświęcić, bywało więc, że seminaria trwały godzinami.

Kiedy przed podjęciem studiów doktoranckich konsultowałam z Profesorem temat pracy, wiedziałam, że proponowany przeze mnie zakres badań ulegnie

znacznej transformacji. I choć początkowo wydawało mi się to niepotrzebne, szybko doceniłam sugestie i rady Profesora, tym bardziej, że w odniesieniu do dotykanych przeze mnie wątków prowadził On wcześniej własne badania. Jak szeroki był zakres podejmowanych przez Niego zagadnień, można się przekonać choćby na podstawie opublikowanego z okazji 80-tych urodzin Profesora wyboru artykułów: *Rzeczy, świadomość, nazwy. O muzyce i muzykologii* (2009). Teksty te są dowodem wnikliwości sądów, drobiazgowości analiz i wszechstronności interpretacji. Kiedy otwieram tę książkę i czytam dedykację, jaką w maju 2009 wpisał mi Profesor: „Pani Basi, z nadzieją, że przyda się jej ten zbiór myśli i materiałów jako inspiracja dla własnej pracy i z serdecznym podziękowaniem za miłą współpracę trwającą już »parę« lat – Jan Stęszewski”, wiem, że choć bardzo nam Go brakuje, pozostawił nam dziedzictwo kulturowe, wobec którego nie pozostaniemy obojętni.

Możliwość poznania Profesora i pracę pod Jego kierunkiem poczytuję sobie za wielki zaszczyt.